Nr. 32. W Nowym Sączu, 15. listopada 1897. Rocznik VII.

Cena „SZKOLNICTWA“ wynosi w miejscu i w państwie austro-węgierskiem: rocznie 8 kor. (4 złr.) kwartalnie 2 kor. (1 złr.) dla zagranicy rocznie 10 koron (5 złr.)

Numer pojedynczy kosztuje 30 hel. (15 ct.

Inseraty przyjmuje się za opłatą po 12 hel. (6 ct.) od wiersza petitu za każdorazowe umieszczenie.

Reklamacye będą uwzględniane do dni 6.

SZKOLNICTWO.

ORGAN NAUCZYCIELI LUDOWYCH.

Wychodzi 5. 15. i 25. każdego miesiąca.

„Wszyscy za jednego; jeden za wszystkich. Kto nie z nami, ten przeciwko nam“.

Redakcya i Administracya w Nowym Sączu przy ulicy Matejki l. 635.

Względem nadesłanych korespondencyi ścisła dyskrecya.

Prenumeratorom udziela Redakcya wszelkich informacyi bezpłatnie.

Numery „Szkolnictwa“ od I. stycznia b. r. mamy w zapasie.

Za zmianę adresu opłaca się 20 ct., które na czy uiścić równocześnie z przesyłką prenumeraty.

Przyjaciół naszego pisma upraszamy o rozpowszechnianie „Szkolnictwa“ w jak najszerszych kołach.

Czas najwyższy wyrównać zaległość prenumeracyjną.

Żądanie ludu.

W Galicyi, kraju rządzonym przez Stańczyków, istnieje tolerowany od dłuższego szeregu lat *system tamowania oświaty* a jeżeli nie wszyscy go widzą, to tylko dlatego, że zespolił się z systemem rządu, objął wszystkie publiczne instytucye, zmonopolizował środki i panuje ogólnie i wszechwładnie. Jeżeli gdziekolwiek podniesie się jakiś wolniejszy głos opozycyi, zaraz powołane do tego organa tłumią go „urzędowo“ i nakazują wierzyć, że wszystko dzieje się *słusznie i prawidłowo* i większość wierzy tak, bo jej *nakazano.*

Z walki ducha postępu z konserwatyzmem wychodzi zwycięsko ten tylko, kto więcej ma środków obrony, a że te środki nabywa się za pieniądze, więc ubodzy pokonani być muszą. Na naszym ludzie widzimy to najwyraźniej. O jego materyalnem ubóstwie nikt nie wątpi, sam *sławny* prezes Towarz. pedag. p. Szczepanowski dowiódł istnienia tego faktu w swem dziele „Nędza Galicyi w cyfrach“, tylko że nikt nie zwraca uwagi na powód, dlaczego ekonomiczne podniesienie tego ludu idzie tak oporem i nic na jego korzyść się nie dzieje.

A przecież powód ten jasny, jak słońce. Oświata i dobrobyt są to dwa wzajemnie wspierające się czynniki człowieczego bytu — stańczykierya czuwa tedy nad tem, by nawet mówiąc o nich, wzbronić im przystępu do chat włościańskich, bo wtedy bytem swoim musieliby się z ludem do połowy podzielić. Bronią przystępu oświaty, bo ona wskazałaby ludowi, w jakim jest stanie i obudziła pragnienie ulżenia swej ciężkiej doli. bronią podniesienia dobrobytu. bo on dałby ludowi środki do uzyskania oświaty.

W tem leży istotne źródło, dlaczego dla tego ludu nie robi się nic szczerze i rzetelnie, dlaczego jego *słusznych żądań* nikt nie uwzględnia. Dlatego to taki jeszcze ogromny brak szkół w kraju (blisko 2500 gmin szkół nie posiada) dlatego budowa ich i organizacya idzie tak ciężko, dlatego na wszystko są pieniądze (na teatra, stańczykowskie gazety, wyścigi) tylko ich brak na podniesienie *żebraczych* płac nauczycieli, dlatego klasa rządząca burzy zaufanie ludu do nauczycielstwa i paraliżuje jego pracę nad podniesieniem prawdziwej oświaty, dlatego wynaleziono opłaty i mundurki szkolne i niesłychanie podwyższono *ceny książek szkolnych.*

O tym ostatnim punkcie mamy zamiar dzisiaj pomówić, bo jakoś nikt się nad nim nie zastanawia i nikt jego doniosłego nie podnosi znaczenia.

Książki są do nauki rzeczą konieczną — a jeżeli w szkołach ludowych jest nauka *obowiązkową* i istnieje przymus szkolny, to co za tem idzie, jest również *obowiązkiem kraju,* ubogim naukę tę ułatwić i dać możność zaopatrywania się w środki i przybory naukowe. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie! Nie dość, że częsta a zupełnie niepotrzebna zmiana książek szkolnych utrudnia ubogim sposobność nabywania nauki, to jeszcze cena ich z roku na rok wzrasta a dzieje się to z widoczną materyalną i **moralną** krzywdą ludu, której przecież uniknąć tak łatwo.

Nieznającym sprawy, zdaje się może, że widocznie nakład książek szkolnych wiele kosztuje i po takiej cenie, jak obecnie, sprzedawać je muszą, ale ci w wielkim są błędzie. Obecnie książki szkolne *są stanowczo za drogie* a to jedynie dlatego, że administracya wydawnictw niesłychane pochłania sumy i że z dochodu tego uczynili sobie monopol próżniacy i darmozjadzi, *cudzym karmiący się groszem.*

Według naszych obliczeń, książka szkolna sprzedawana w handlu księgarskim za 1 koronę, kosztuje faktycznie 13 ct.; gdzie się więc podziewa reszta? Oto zabierają ją panowie członkowie komisyi wydawniczej, której sam p. dyrektor pobiera 10.000 złr. rocznej płacy a część dostaje się księgarzom w niesłusznym, bo 30% właściwej ceny wynoszącym zysku. Mówimy „niesłusznym“, księgarz bowiem ze swej strony żadnej nie dodaje pracy, bo książka szkolna to nie powieść ani kalendarz, który przychwalać i

kolportować trzeba i każdy uczeń i uczennica *kupić ją musi.*

Dziś gdy na lud zewsząd rozmaite zwalają ciężary, niechże przynajmniej *od podatku od oświaty* będzie wolny i krwawo zapracowany grosz niech nie daje na tuczenie się panów radców i dyrektorów, bez których całkiem obejść się można. Książki szkolne powinny być *jak najtańsze* tj. sprzedawane *po kosztach wydawnictw* a księgarze, podobnie jak sprzedawający stemple powinni mieć *tylko 1% zysku.*

Zgromadzenie delegatów „Towarzystwa nauczycieli ludowych“ podniosło już tę myśl na zjeździe w Rzeszowie a urzeczywistnienia jej domagać się będziemy przez posłów naszych w Sejmie i w Radzie państwa.

Nasz postęp.

(Uwagi nad sprawozdaniem Rady szk. kraj. o stanie publicznego wychowania w roku szk. 1895/96.)

(Dokończenie)

Wogóle, *jak twierdzi sprawozdanie*, postęp we wszystkim przedmiotach okazuje się większy w szkołach miejskich niż wiejskich, w których to ostatnich „nauka tak pod względem metody, jak też co do skutków pozostawia wiele do życzenia“.

Nie dziwimy się temu smutnemu twierdzeniu wcale, tylko *w czem innem* widzimy jego powody, a wyłuszczaliśmy je niejednokrotnie. Pomimo *stwierdzonej* predylekcyi w ocenianiu postępów młodzieży szkół wyższego typu i systematycznego przenoszenia zdolniejszych nauczycieli ze wsi do miast (co musi osłabić postępy w szkołach wiejskich) uwierzyć nie możemy w tak szczęśliwą rękę Rady Szkolnej kraj. przy kreowaniu szkół pięcio- i sześcioklasowych, iżby już w trzecim roku ich istnienia osiągnąć mogła takie rezultaty, których nie osiągnęła po wielu latach w szkołach wiejskich, tem więcej, że cel nauki i metoda były rzeczą całkiem nową a personal nauczycieielski obcy i nieświadomy dążności nowo założonych szkół. Mamy tylko moralne przekonanie, że *na papierze* rezultaty tych szkół były bardzo dobre, w rzeczywistości jednak bardzo wiele miały i mają niedostatków, pomimo, że szkoły 5- i 6-klasowe są benjaminkiem Rady Szkol. kraj. *kosztem zupełnego zaniedbania szkół wiejskich, od' k órych wiele się żąda a nic im nie daje*

W wykazach statystycznych znajduje się wzmianka, że stan nauki i uobyczajenia dzieci jest w 486 szkołach bardzo dobry, w 1577 zadowalniający, w 1383 dostateczny a w 213 niedostateczny. Daty te pochodzą z drugiej lub nawet trzeciej ręki i przefiltrowane są przez bibułę inspektorskiego uprzedzenia, nie można przeto do nich zupełnej wagi przywięzywać. Stwierdzają one jednak, że mimo tak wyraźnych braków i niedostatków szkół. praca nauczycielska była dodatnią i pełną dobrych skutków.

Szkoły prywatne są albo wyznaniowe, albo klasztorne, albo innej kategoryi. Liczba ich wynosi w całym kraju 218, z tych jest 38 z prawem, a 180 bez prawa publiczności. Szkoły ewangielickie, utrzymywane wyłącznie przez wyznaniowe gminy, tworzą zarazem odrębne dla siebie gminy polityczne. Są one z nielicznymi wyjątkami jedno, a co najwyżej dwuklasowe. Tylko szkoły w Krakowie, we Lwowie i w Biały są szkołami wyższego rzędu. Szkoła lwowska, subwencyonowana przez gminę miasta Lwowa, dopuszcza częściowo język polski, do niektórych przedmiotów, jako język wykładowy; w innych szkołach ewangielickich język polski jest tylko przedmiotem — obowiązkowym. Czy te stosunki są zdrowe i potrzebom odpowiednie, rozstrzygnąć nie można na tem miejscu; faktem jest, że nawet wiejskie gminy ewangielickie w ostatnich latach się polonizują. Szkoły izraelickie fundacyi bar. Hirscha powoli naginają się do szkół publicznych, tylko zatrzymują, stosownie do wymagań statutu fundacyi, począwszy od drugiego półrocza pierwszej klasy, język niemieki jako obowiązkowy. Dążą one do tego, ażeby uzyskały prawo publiczności. Brak jednak stosownych ubikacyj uniemożliwia im przyznanie prawa publiczności, które dotychczas uzyskała tylko jedna szkoła w Kołomyi.

Nadzór szkolny, czyli innemi słowy: *system policyjny*, celem ograniczenia swobody działalności nauczycielskiej a temsamem *popchnięcia wstecz* ludowego szkolnictwa i prawdziwej oświaty, *pomnożył się* w r. szk. 1895/96. Przybyły mianowicie dwa nowe okręgi szkolne: Podgórze i Strzyżów, skutkiem czego liczba inspektorów okręgowych wynosi obecnie 65; z tych 52 sprawuje funkcye w jednym okręgu, 12. w 2-ch okręgach a jeden okręg ma osobnego zastępcę i inspektora. Rada Szk. kraj. ma nadzieję, że najdalej w r. 1899 przez pomnożenie posad, każdy okręg szkolny będzie miał osobnego inspektora, „co dla normalnego toku spraw szkolnych *jest rzeczą konieczną*“(*?!*) W ubiegłym roku szk. dokonała się nadto *wielka* zmiana w miejscowym nadzorze szkolnym a mianowicie przybyli t. zw. *delegaci Rad szk. okr.* Monumentalny ten wynalazek, który ogólne wywołał niezadowolenie wśród reprezentantów gmin i nauczycieli, omawialiśmy już w swoim czasie, tu więc pominiemy go w zupełności, bo zresztą nawet *na wzmiankę pogardy* nie zasługuje. Jest on chyba najwyraźniejszem stwierdzeniem panującego w nauczycielstwie *systemu szpiclowania.*

Co do *budowy szkół*, to ta skutkiem nowej ustawy, uległa gruntownej zmianie. Mówiliśmy już o niej w roku zeszłym przy sposobności roztrząsania sprawozdania Rady Szk. kraj. i wykazywaliśmy wtedy jej niewłaściwość. W myśl tejże ustawy potrzebnego za-

siłku udziela fundusz krajowy a ułożeniem planu i prowadzeniem budowy kieruje Rada Szkolna kraj. za pomocą wyznaczonych urzędników i delegatów. Przy pomocy profesorów szkoły przemysłowej ułożyła ona dla każdej kategoryi oddzielne plany budynków szkolnych i oznaczyła w przybliżeniu ich ceny. Kwota wyznaczona obecnie z funduszu krajowego wynosi 80.000 złr., okazuje się jednak niedostateczną. Chcąc corocznie wybudować w każdym powiecie tylko jednę szkołę miejską, a pięć szkół wiejskich, potrzebaby dwa razy tak wielkiego zasiłku, jak obecny. Takiej akcyi nie możnaby wcale nazwać pospieszną, gdyż, prowadzona dalej tych w rozmiarach, może ona tylko zapobiedz zamykaniu czynnych szkół, których budynek zniszczał i usuwać rażące złe tam, gdzie umieszczenie szkoły nie czyni zadość najskromniejszym wymogom. — Widzimy więc, że z tą nową, piękną ustawą, i ze znacznym zasiłkiem, udzielanym przez kraj, niedaleko zajdziemy. Daleko prędzej posuwano się z całą akcyą przed laty 20-tu, chociaż nie stawiano po wsiach budynków murowanych i nie tworzono komitetów budowy, a planów nie narzucano z góry każdej wiosce podgórskiej. Widocznie było więcej zapału i więcej rąk, gotowych do pracy i ofiar.

Uposażenie szkół wiejskich w grunta orne postępuje, jak się można było spodziewać, dosyć opornie. Na 3541 zorganizowanych szkół wiejskich tylko 1353 szkół posiada przynajmniej jeden mórg ziemi ornej dla użytku nauczyciela, a reszta posiada mniej niż jeden mórg, lub nie ma wcale żadnej ziemi ornej. Kilkuset nauczycieli tej ostatniej kategoryi pobiera roczne relutum w gotówce, zaś 1015 nie pobiera ani relutum, ani nie ma dodanego na użytek gruntu ornego. W wielu gminach, w których dodana jest nauczycielowi ziemia orna, nie gospodaruje on sam, lecz ją wydzierżawia. Dzieje się to przeważnie w tych gminach, gdzie obowiązki nauczycielskie spełniają kobiety, a ci nauczyciele, którzy otrzymują relutum w gotówce, zwykle nie dzierżawią za te pieniądze ziemi ornej, lecz uważają to relutum jako należące im się z ustawy polepszenie płacy. Ustawa ta ma na celu zbliżenie i zespolenie nauczycielstwa wiejskiego z tem społeczeństwem, wśród którego ono ma żyć i spełniać obowiązki swego zawodu. Dziwić się jednak temu nie można, że nauczyciele niechętnie się biorą do uprawy ziemi. Większość nauczycieli nie zajmowała się nigdy uprawą roli, a częstokroć nie ma o niej najmniejszego wyobrażenia; jakżeż więc mają rozpoczynać gospodarstwo i przyświecać ludowi przykładem, kiedy zachodzi obawa, żeby nie zrobili fiaska. Brak im narzędzi gospodarczych, a grunta są częstokroć tak liche — dobrych gruntów, jak wiadomo, na wsi dostać bardzo trudno, — że uprawa ich nie opłaci się, albo grunta te tak są odległe od szkoły, że nadzór ich i staranna uprawa jest niemożliwa. Zresztą nauczyciel obok szkoły oddawać się musi nauce uzupełniającej, zajmować się przygotowaniem na lekcyę, poprawianiem zadań, musi kształcić się dalej w swoim zawodzie tak, że literalnie nie ma czasu na zajmowanie się rolą. W listopadzie roku 1896 wydała Rada Szkolna krajowa w tym kierunku nowy okólnik do Rad Szk. okręgowych, w którym poleca, ażeby dołożono wszelkich starań, aby ów mórg został nauczycielom dostarczony, czy to jako własność szkoły, czy też sposobem najmu na dłuższy przeciąg czasu, a gdzie dostarczenie morga gruntu natrafia na wielkie trudności, tam należy starać się nakłonić strony konkurencyjne, aby na ten cel przeznaczyły rocznie pewną kwotę i składały ją w depozyt, dopóki ta kwota skapitalizowana, nie wystarczy na nabycie gruntu; wyznaczanie zaś jakiegokolwiek pieniężnego relutum dla nauczycieli w zamian za ów mórg gruntu, jako sprzeczne z ustawą, ustać ma bezwarunkowo, a kwoty, przeznaczone na ten cel i wypłacane nauczycielowi, obracane być mają na najem gruntu. Tym sposobem, po pewnym przeciągu czasu, szkoły nasze będą zaopatrzone w grunt orny i mogą przynieść nauczycielowi pewną materyalną korzyść, jeżeli tylko przy ich używaniu unikać się będzie wszelkiej presyi, która zazwyczaj dobrych skutków nie przynosi.

Metoda wygłaszania.

Gdyby wynalazca czyli raczej twórca alfabetu głoskowego, którym według podania miał być Fenicyanin Thot albo Taut, wstał dziś z grobu, wstąpił do kilku szkół ludowych galicyjskich i przysłuchał się, jak tam jego nieśmiertelne dzieło t. j. naukę pisania i czytania niemiłosiernie kaleczą i profanują, to jak najspieszniej uciekłby aż na kraj świata, aby takiej ohydy przy końcu 19. wieku nie widzieć i nie słyszeć.

Przecież ten wyżej zacytowany wynalazca pisma głoskowego nie mógł żadnej innej metody używać, jak *metody wygłaszania* czyli artykułowania głosów (Lautirmethode). Przy tej czynności musiał on postępować taką drogą: 1) wymówiony wyraz pełne znaczenie mający rozkładał na jego pierwotne części czyli wysłuchiwał głosy, z jakich się wyraz składa, a więc analizował, a tem samem artykułował czyli wygłaszał; 2) dla tych samych głosów w wyrazach się powtarzających używał tych samych znaków graficznych czyli głosek, a więc te głoski pisał, a wzorował je z układu ust i z układu innych narzędzi mownych, jaki to układ te organa mowne przy artykułowaniu danego głosu przybierają; 3) tych samych głosek używał także do urabiania nowych sylab czyli zgłosek i całych dwu- i więcejzgłoskowych wyrazów,

a więc teraz dopiero sylabizował albo zgłoskował, a zatem czytał.

Pisanie i czytanie musiało tedy powstać równocześnie i musiało w połączeniu ze sobą być uprawiane. Pierwszym stopniem czytania musiało być zatem artykułowanie głosów czyli wygłaszanie, bo nazwa głosu i zarazem głoski czyli litery całozgłoskowa jak np. ka, eł, jaką potem poszczególnem głoskom nadano, nie mogła w żaden sposób istnieć pierwej od samego głosu. Pierwej bowiem musi być rzecz, a potem jej obraz.

Ale ta jedynie racyonalna sztuka czyli metoda uczenia czytania na podstawie pisania poszła niebawem w zapomnienie i w poniewierkę, bo jako rzecz trudna i mozolna była powierzona ludziom służebnym najniższego rzędu, bez inteligencyi, jak niewolnikom, piastunkom, lokajom, diakom, organistom i braciszkom, wskutek czego ta sztuka została wypaczoną, skoszlawioną, zohydzoną i do rzędu prostego, partackiego rzemiosła poniżoną, a rzemiosłem takiem była przez długie czasy osławiona metoda *głoskowania* (Buchstabirmethode) tak, że jej nawet własnej nazwy nadać nie umiano, i nazywano ją błędnie *metodą sylabizowania* albo *zgłoskowania,* co na dziś dzień się utrzymało.

Tacy to światli bakałarze utworzyli nową, dla siebie tylko przystępną i nietrudną, bo mechaniczną metodę głoskowania (Buchstabirmethode), nadali spółgłoskom celem łatwiejszego ich wymawiania a nawet i samogłoskom nazwy całozgłoskowe jak np. be, ka, wu, ef, zet — alfa, eta, jota, omega itp., i głoskując torturowali nią ludzkość aż do początku 19. wieku, a w szkołach galicyjskich aż poza siedmdziesiąty rok tegoż wieku.

Dopiero w czasach poreformacyjnych a więc już w drugiej połowie 16. wieku i w wieku 18. wystąpili wytrawni światli metodycy jak Walenty Ickelsamer, Piotr Jordan, Andrzej Wilkius, Amor Komańsky i Wolfgang Ratke do walki przeciw barbarzyńskiej metodzie głoskowania i żądali, ażeby czytania uczono na podstawie pisania i używano przy tem metody wygłaszania, ale bezskutecznie, bo nie umieli sami tego postępowania należycie określić. Walka ta trwała przez przeszło trzy wieki, i skończyła się zwycięstwem dla metody wygłaszania dopiero na początku dziewiętnastego wieku, bo przywrócono jej nareszcie pierwotne jej prawa i znaczenie. (Olivier, Stephani 1802, Krug, Wolski 1810. Graser 1811—1817).

Walka ta trwała dlatego tak długo, bo ją toczono z ciemnotą, a wiadomą jest rzeczą, że walka z cieniem jest trudną a raczej bezskuteczną. Jeżeli się bowiem odezwał ktoś z mądrem i śmielszem zdaniem, to nie było nikogo, ktoby go zrozumiał. Na to mamy dowody nawet w polskiej, ubożuchnej historyi metodyki. Elementarz Komisyi Edukacyjnej z r. 1785 wprowadził metodę czytania grafo-logiczną, a elementarz Izby Edukacyjnej z r. 1810 metodę wygłaszania, ale to wszystko przebrzmiało jak echo i stało się tylko faktem historycznym. I nieprawdą jest, że temu stanęły ówczesne przewroty polityczne na przeszkodzie, bo i podzas przewrotów uczono czytania i pisania, ale to prawdą jest, że nie było ludzi, którzyby to ulepszenie zrozumieć, pojąć i zastosować potrafili.

Z jakiego zaś tytułu tylko w naszych szkołach galicyjskich przez całe ćwierć wieku aż do dziś dnia uprawia się bezmyślną, bo mechaniczną *metodę sylabizowania*, skoro w szkołach postępowych innych krajów, a nawet w prowincyach dawnej Rzeczypospolitej polskiej, gdzie tylko mowa polska rozbrzmiewa, używa się już od dawna przy nauce czytania jedynie racyonalnej *metody wygłaszania*, czego dowodem są najlepsze elementarze polskie do tej metody pozastosowane jak elementarz Promyka, Jeskego, Dygasińskiego i szląski, to już chyba z tej racyi to się dzieje, że się uczniów szkół naszych uważa za głuchoniemych, bo ta metoda jest tylko dla głuchoniemych obmyślona.

Metodę sylabizowania czyli *zgłoskowania,* także czytania sylabami (*Sillabirmethode* albo Silbenlesen) dobrze obmyślił i wprowadził w użycie w drugiej połowie 18. wieku Samuel Heinicke (1727 — 1790) kierownik zakładu głuchoniemych w Lipsku, a swojemi wyczerpującemi i dosadnemi pismami przyczynił się niemało do zwalczenia wstrętnej metody głoskowania. Heinicke zastosował metodę sylabizowania dla głuchoniemych, bo ci spółgłosek wygłosić nie potrafią. On podzielił wszystkie głoski alfabetu na samogłoski i spółgłoski, z pierwszych zrobił patrycyuszów, z drugich plebejuszów, i postanowił, że drudzy nie mają praw żadnych i muszą tylko służyć pierwszym, a więc, że spółgłoski mają być czytane tylko w połączeniu ze samogłoskami, czyli, że się ma sylabizować albo zgłoskować.

Sam Heinicke, a z nim i inni jeszcze metodycy uważali metodę sylabizowania za najdoskonalszą, bo metody wygłaszania jeszcze nie znano, ale mylnie, bo pierwsza jest tylko połową czyli zakończeniem metody głoskowania, tak samo, jak jest ona także zakończeniem metody wygłaszania.

Po tym krótkim wywodzie historycznym dotyczącym metod czytania, przystępujemy do uzasadnienia dobitniejszego, że metoda sylabizowania czyli zgłoskowania jest bezmyślną, mechaniczną, a tem samem nieodpowiednią, i że powinna jak najprędzej ustąpić miejsca i w naszych szkołach metodzie jedynie racyonalnej, a więc metodzie wygłaszania, za

czem idzie, że i elementarz dotychczasowy powinien być także zmieniony i do nowej metody całkowicie przystosowany.

Nasi domorośli pseudo-metodycy, a nawet pedagodzy i metodycy od gadania twierdzą, i tak samo w przewodnikach i w sławnej instrukcyi drukują, że spółgłosek wymówić czyli wygłosić nie można, które to twierdzenie jak już z poprzednich uwag dowodnie się okazuje, jest z gruntu błędne. Oni sami od drugiego roku życia począwszy wszystkie spółgłoski tak samo jak i samogłoski bez wyjątku w mowie się znajdujące artykułują czyli wygłaszają i o tem nie wiedzą, a tego może im dowieść nawet człowiek niepiśmienny, bo im powie, że przy powolnem wymawianiu wyrazów n. p. trwał, lgnąć, mdłość, wstręt, głupstwo, on wyraźnie słyszy i odróżnia tyle odmiennych głosów. z ilu się wyraz składa, których to jednak głosów, rozumie się samo przez się, on ani oddzielnie nazwać czyli wymówić, ani obrazowo przedstawić czyli napisać nie potrafi, bo go tego nie uczono.

Nauczyciel uczący przy końcu 19. wieku czytania i pisania podług metody zgłoskowania wystawia naprzód pośrednio złe świadectwo tym, którzy go licho uczyli, potem takie samo świadectwo sobie, że niema tego zmysłu i delikatnego słuchu, aby z mowy własnej i drugich ludzi dobrze mówiących i także swoich uczniów mógł wysłuchać, że mowa ludzka składa się z głosów artykułowych, które tak pojedynczo, jak i w zbiegu czyli w zgłoskach wygłosić się dają, bo wygłoszone być muszą.

Ten sam nauczyciel oszukuje naprzod sam siebie, bo on jest mniemania, że uczy tylko sylabizować czyli czytać, a on tymczasem sylabizując wygłasza pojedyncze głoski, i im lepiej to sylabizowanie wykonuje, tem lepiej spółgłoski artykułuje czyli wygłasza i tem lepiej swoich uczniów bezwiednie tej sztuki wyucza. Następnie ten sam nauczyciel oszukuje swoich uczniów, bo on ich naucza, że spółgłoski samej bez samogłoski wymówić czyli wygłosić nie można, a on ich sam tego uczy. i sam od nich tego wygłaszania żąda, przez co ich także krzywdzi, bo im najpierw prawdy nie mówi, a potem tej mozolnej pracy, mianowicie przy napisywaniu spółgłosek nie ułatwia, co metoda wygłaszania ma głównie na celu.

Przy tej metodzie na odwrót uczniowie oszukują swego pana nauczyciela. Nauczyciel nauczywszy uczniów swoich pięć pierwotnych samogłosek wygłaszać czyli wymawiać, potem głoski pisać i je nazywać czyli czytać, przystępuje do spółgłosek i daje im z góry fałszywe przykazanie, że tych liter samych bez poprzednio poznanych wymówić czyli wygłosić nie można, i cieszy się biedaczysko niepomiernie, że po długiej mozole tak z jego strony jak i ze strony uczniów przecież ci uczniowie urobione głoski i całe wyrazy i napisują i nareszcie czytają.

Powiedziało się wyżej, że ten nauczyciel cieszy się, że jego uczniowie czytają, ale on tego nie wie, że ci uczniowie czytając, artykułują czyli wygłaszają wszystkie głosy a zatem i głoski tak w pojedynczych sylabach jak i w całych wyrazach. A któż ich tego wygłaszania nauczył? przecież nie nauczyciel, bo to się stało wbrew woli jego. Otóż tego wygłaszania nauczyli się uczniowie sami drogą mozolną, uciążliwą bo mechaniczną, i oni czytając wygłaszają, a zatem oszukują nauczyciela, bo on im zapowiedział, że spółgłosek wygłosić nie można.

I na tem miejscu wypowiadam zdanie dla wiadomości tych, którym to wiedzieć należy, i wypowiadam to zdanie nie raz, ale powtarzam go tysiąc razy, że uczeń dopiero wtedy nauczy się, a zatem i umie samodzielnie przeczytać zgłoskę choćby o najmniejszym zbiegu liter, gdy się nauczy te litery wygłaszać, a nigdy prędzej i nigdy inaczej.

Otóż z powyższych uwag wyrozumie każdy jasno, jaka olbrzymia jest różnica między jedynie racyonalną metodą wygłaszania, a papuzią metodą sylabizowania. Przy pierwszej t. j. przy metodzie wygłaszania spełniają tak nauczyciel jak i uczniowie świadomie, a więc rozumowo swoje zadanie i tak samo świadomie zdążają do celu, bo poznają stopniowo wszystkie pierwiastki mowy t. j. głosy naprzód na ucho, potem kreślą podług danego wzoru widome znaki czyli obrazy poznanych głosów, a więc napisują głoski albo litery, mianują te napisane głoski nazwą głosów, a więc czytają, łączą je pisząc i wygłaszając w sylaby, a te w całe wyrazy, którą to czynność także czytaniem nazywamy. Uczeń więc przy tej metodzie wie, co czyni, do jakiego celu zdąża, a w razie pomyłki jak n. p. w razie zapomnienia nazwy lub opuszczenia głoski w sylabie, przestawienia głoski, zamieniania głoski, w razie złego podzielenia wyrazu na zgłoski, sam o własnej sile będzie w stanie błąd poprawić, będzie wiedział, co zrobił, a co jeszcze zostało do zrobienia, bo go do tej samopomocy uzdolniła metoda.

Tego wszystkiego nie daje metoda sylabizowania, ale raczej ogłupia ucznia, niż kształci, bo robi z niego maszynę do powtarzania tysiącznych kombinacyi zgłoskowych bez możliwości zdania sobie sprawy, dlaczego i na co tak czyni, a co najgorsza, że pozbawia go uciechy i zadowolenia ze zdobycia samodzielnego i świadomego korzyści z nauki i z pokonania trudności. Najlepszem zaś poparciem powyższego twierdzenia na nasze miliony analfabetów, z których przynajmniej trzecia część w młodych latach do szkoły chodziła i czytać się uczyła, ale

przez mechaniczną metodę sylabizowania tak jak dawniej głoskowania zniechęcona i do samopomocy nieuzdolniona, wkrótce to czytanie zapomniała.

W zakończeniu niniejszej pracy powodowani poczuciem obywatelskiego obowiązku ostrzegamy także aranżerów nauki dla dorosłych analfabetów, że daremne są ich szlachetne zamiary, ich zachód, praca, trud i koszta, bo wszystkie te ich usiłowania rozbiją się o błędną metodę tak, jak okręt o podwodną skałę. *ski.*

Echa ze Stanisławowskiego Zjazdu.

Ciąg dalszy.

Ta charakterystyka nowego p. prezesa nie podobała się się nota-bene — jego własnemu organowi „*Słowu Polskiemu*" — usiłuje ją tedy odeprzeć i ośmieszyć w Nrze. 172 z d. 27 lipca br. artykułem p. n: „*Napaść na nauczycielstwo*".

Już sam tytuł artykułu wskazuje, że obrońca p. Szczepanowskiego pod *cudzy podszywa się płaszcz* i osobistej jego powagi i znaczenia, tak mocno opinią „*Gazety Narodowej*" zachwianej, broni imieniem nauczycielstwa, którego przedstawicielem nie jest i być niema prawa. Któż bowiem pozwolił niefortunnemu obrońcy identyfikować Towarzystwo pedagogiczne z Towarzystwem nauczycielskiem, kto upoważnił go kreować p. Szczepanowskiego na reprezentanta zawodu nauczycielskiego? Napaść na p. Szczepanowskiego a nawet na całe Towarzystwo pedagogiczne **nie jest** żadną miarą napaścią **na nauczycielstwo**, skądże więc tytuł wspomnianego artykułu i przemówienie imieniem *niby obrażonych nauczycieli?*

My (nauczyciele) czujemy się artykułem „Gazety Narodowej" rzeczywiście napadnięci, ale *z innej strony*, niż twierdzi organ p. Szczepanowskiego. Przedewszystkiem zastrzegamy się przeciwko twierdzeniu, jakoby „*Towarzystwo pedagiczne wiązało w jedno koło nauczycielstwo całego kraju*" i tem samem odpowiadało za konsekwencye z wyboru p. Szczepanowskiego wynikłe, bo w skład członków tego Towarzystwa obok nauczycieli — karjerowiczów i lokajów wchodzą i inspektorowie szkolni, dyrektorowie i profesorowie szkół średnich, przemysłowcy, kupcy, księża, rzemieślnicy, nawet osoby bez żadnego zajęcia, a na stanisławowskim Zjeździe, była stanowcza większość tych ostatnich, i *ich głosami narzucony z góry prezes wybrany został.* Całe nauczycielstwo p. Szczepanowski o ile nie przemawia w zakresie nafty i ekonomii — nic a nic nie obchodzi.

Z wyborem p. Szczepanowskiego nauczycielstwo nic nie straciło (jak twierdzi „Gaz. Narod.") bo wybrany on został prezesem Tow. pedagogicznego a nie Towarzystwa nauczycieli ludowych i interesów nauczycielstwa *nigdy reprezentować nie będzie.* Do jego „złotych obietnic" nauczycielstwo nigdy żadnej nie przywięzywało wagi, nie czeka je zatem „los karty w ręku gracza politycznego". Dola taka przypadnie tylko Towarzystwu pedagogicznemu, które „dawno sprzedało część swych dobrych tradycyj" i nie dziś „wkroczyło na pochyłą drogę", z której cofnąć się moralnej nie ma już siły.

Nie ma więc przyczyny oburzać się szlachetne „Słowo polskie" i broniąc p. Szczepanowskiego stawać niby w obronie nauczycielstwa dla efektu i pogłębienia ważności sprawy, bo na nauczycielstwo nikt nie napadł i nikt go nie obraził, chyba tych nauczycieli — lokajów, którzy pańskiej trzymają się klamki, jeżeli n. b. mają jeszcze szczyptę czci i ambicyi....

W części sprawozdawczej stanisławowskiego zjazdu pierwsze miejsce zajmuje: „Sprawozdanie o stanie funduszów Towarzystwa pedagogicznego", które w zastępstwie nieobecnego skarbnika Dra Dziwińskiego, odczytał dyrektor *p. Pająk.* Wprawdzie z początku czytać go nie chciano, odwołując się na to, że drukowane sprawozdanie jest już w rękach członków ale na energiczny wniosek *p. Pałki*, musiano zadosyć uczynić żądaniu większości. Z przedłożonego sprawozdania pokazuje się tedy, że fundusze Towarzystwa w nader lichym są stanie, i choć wykazano nieznaczny ich wzrost w porównaniu z rokiem minionym, to przecież jest to tylko *wzrost fikcyjny*, bo wliczono weń i subwencyę Sejmu krajowego w kwocie 500 złr. i zaległą prenumeratę na czasopismo „Szkoła". Dla lokajskiego organu Tow. pedag. wogóle smutne nadchodzą czasy i byt jego jest zagrożony; prenumeratorów, pomimo różnych sztuczek redakcyi, ubywa z każdym miesiącem, nawet Rada szkolna, skutkiem rozpoczęcia wydawnictwa „Dziennika urzędowego" mniej egzemplarzy zaprenumerowała tego roku, odpadły nadto Redakcyi „Szkoły" dochody za systematyczne ogłoszenie konkursów na posady nauczycielskie.

Na walnem Zgromadzeniu zastanawiano się nad przyczyną tego smutnego dla „Szkoły" stanu. Zarząd główny zwracał się nawet do członków z prośbą o wypowiedzenie zdań co do ewentualnych zmian w kierunku prowadzenia pisma, tylko że zdań tych, *jeżeli były racyonalne*, tendencyjnie słuchać nie chciał i jesteśmy pewni, że i w przyszłości do nich się nie zastosuje. Dopóki „Szkoła" interesów nauczycielskich szczerze bronić nie zacznie, dopóki nie zapragnie oprzeć się nie na subwencyach i zapisach, *ale na przekonaniach całego nauczycielstwa*, dopóty nie ma racyi bytu i na poparcie u nauczycieli liczyć nie może.

Referat „sprawozdania o funduszach" kończył się następującymi trzema rezolucyami, które poddano pod dyskusyę:

1) Walne zgromadzenie zechce udzielić Zarządowi głównemu absolutoryum z administracyi wszelkimi funduszami za rok 1896.

2) z uwagi, że komisya lustracyjna, przeglądając wszelkie rachunki, skonstatowała dążność(!) Zarządu głównego do coraz większych oszczędności i ścisłości w prowadzeniu ksiąg kasowych, oraz szczegółowej rachunkowości, postanowiła prosić walne Zgromadzenie:

a) o złożenie podziękowania (?) Zarządowi głównemu,

b) o udzielenie uznania skarbnikowi drowi. Dziwińskiemu, *(który na Zgromadzenie nawet przybyć nie raczył P. R)* za bezinteresowne kierowanie sprawami kasowemi i zawiadywanie funduszami Towarzystwa.

c) przyjęcie do wiadomości o gorliwej pracy

administratora wydawnictw p. Józefa Bałabana i rachmistrza p. Muchy;

3) Komisya wyraża życzenie, aby Walne Zgromadzenie upoważniło Zarząd główny do zakupna domu na własność Towarzystwa.

Rzecz prosta, że rezolucye te uchwalono, bo przecież Zarząd główny *do uchwalenia je przedłożył*, a któżby się śmiał sprzeciwić „sztabowcom“ stojącym tak blisko Rady Szkolnej krajowej? Nauczyciele się boją, bo patrzą na nich inspektorowie i chodzi im o własną skórę, a nie nauczycielom nic na sprawach Towarzystwa Pedag. nie zależy i jest im siak, czy owak, „alles eins“.

Złożono więc *zasłużone* pochwały i uznania dla członków Zarządu głównego, jak przystało dla takich dygnitarzy, a nawet jak punkt 2) wskazuje skonstatowano *system oszczędnościowy* w administrowaniu funduszami Towarzystwa, choć na posiedzeniu poufnem z łona tegoż Zarządu wyszedł wniosek, *by nawet miejscowym członkom komisyi kontrolującej płacić honorarya* i tylko na protest *p. Mayera* upadł. Zaiste dziwnie zrozumiana oszczędność, pod presyą członków Towarzystwa i opinii publicznej rozpoczęta — a rozpoczęta niestety dość późno.

Rezolucya trzecia wywołała nieco większe zainteresowanie wśród członków Zgromadzenia, rozchodziło się tu bowiem o rzecz doniosłego znaczenia, *o budowę własnego domu Towarzystwa Pedagogicznego.* Znanym jest naszym Czytelnikom ten projekt Zarządu głównego, bo od kilku już lat przygotowuje do niego opozycyjne umysły swych członków i od takiegoż czasu „Szkolnictwo“ projekt ten zwalcza i nikt pewnie nie wątpi, że „*domem własnym*“ pragnie Zarząd główny ugruntować przyszłość nie Towarzystwa, ale *swoją własną* i w ten sposób resztki dobrowolnych ofiar całego nauczycielstwa zaprzepaścić bez żadnej dla niego korzyści. A przecież na stanisławowskim zjeździe oprócz *p. Mayera*, (który jako członek redakcyi „Szkolnictwa“ dla prostej konsekwencyi zaprotestować musiał) jeden tylko p. Pałka oświadczył się przeciwko wnioskowi, proponując użycie funduszów Towarzystwa na ulżenie doli nauczycielskiej; wszyscy zresztą albo milczeli, albo pod presyą kiwali głowami. Mowców *pro* było rozumie się, bardzo wielu — jeneralnym wybrano *dra Warmskiego*, *contra* zaś przemawiał *p. Mayer.*

Mowca *pro* motywował swoje zapatrywanie tak banalnymi argumentami, że szkoda ich przytaczać, bo żadnej nie wytrzymują krytyki, i pod rozumową analizą rozpływają się w nicość. Mówił, że „kapitały najlepiej lokować w murach“, że dom własny „mieścić będzie biura i magazyny i czytelnie i bibliotekę“, „że wreszcie z wynajmu sali można mieć dochód“ i nawoływał do uchwalenia wniosku.

Mowca *contra*, choć przemawiał wpierw, rozbił w puch wszystkie te wywody i wskazał, że domem Towarzystwa pedagogicznego są wszystkie szkoły w kraju, a pomnikiem jego nie powinien być gmach z kamienia, ale własna praca, której owoce trwać będą wiecznie. *O zysk moralny*, a nie finansowy powinno się przedewszystkiem Towarzystwu rozchodzić, a jeśli dochód chce mieć większy, to niech raczej wybuduje cyrk albo teatr i za pieniądze odnajmuje go przedsiębiorstwom, ale niech się nie chwali, że dom *dla celów* Towarz. Pedag. potrzebny. W warunkach, w jakich obecnie istnieje Tow. pedag. łatwo może się stać, że będzie dom, *a samego Towarzystwa nie będzie*, dbać należy o rozbudzenie umysłowego ruchu, a nie stawianie budynków, choćby istotnie produktywnemi być miały. Fundusze Towarzystwa powinny być przedewszystkiem użyte na cele tych, którzy je złożyli.

Mowę *p. Mayera* przyjęto oklaskami, ale o cudo... w głosowaniu wniosek jego upadł *rażącą mniejszością*, utrzymał się natomiast wniosek komisyi.

Gdy później na kurytarzach składano mu powinszowania za dzielne przemówienie, a gdy zdziwiony zapytał się, czemu za jego wnioskiem nie głosowano, usłyszał następujące odpowiedzi: „*Bo widzi pan... ten... tego... koło mnie siedział inspektor i jakoś mi nie wypadało głosować inaczej.*“ „*Ja, niech mi pan wierzy, podzielam jego przekonania w zupełności, ale mam żonę i dzieci i narażać się nie chciałem ...!*“ „*Co do mnie, to jestem delegatem, do Rady szk. okręgowej i prześladowano by mię.*“ „*Ja zaś w tę sprawę głęboko nie wchodzę, podnoszą inni ręce, to i ja... wszystko mi jedno....!*“

Do odpowiedzi tych chyba komentarzy nie potrzeba! C. d. nastąpi.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

Dnia 19 z. m. odbył się *w Ropie* w pow. gorlickim przy nader licznym współudziele ludu wiejskiego, jak również obywatelstwa z okolicy, pogrzeb emerytowanego nauczyciela szkół ludowych ś. p. **Piotra Dorygiewicza.**

Urodzony w r. 1813 pełnił on przez pół wieku wzorowo ciężkie obowiązki krzewiciela oświaty wśród ludu wiejskiego, a dzieje pięćdziesięciu lat na jednej i tej samej posadzie w Ropie spędzonych, mieszczą cały szereg przykładów, że zmarły był niezwykłem w naszych czasach połączeniem prawości charakteru, cichej i niezmordowanej pracy, oraz wielkiej dobroci w stosunkach z ludem. Dowód tego złożył w r. 1846, kiedy pośród szalejącego dokoła w całym powiecie orkanu, nieszczęścia rzezi, ś. p. Piotr wespół z miejscowym proboszczem ś. p. ks. Janem Kopystyńskim późniejszym dziekanem w Dębowcu, powagą swoją i wpływem na ludność, ocalił Ropę od krwawego zalewu. Ropianie bowiem odpłacający mu nieograniczoną miłością i zaufaniem za jego prawdziwą ojcowską miłość i pieczę, zachowali się spokojnie, a wieś ich nie została splamioną żadnym krwawym czynem. Późniejsze publikacye zanotowały chlubnie tę niepospolitą zasługę, obywatelskiej i patryotycznej działalności nauczyciela wiejskiego. Kilkanaście lat temu spotkało znowu ś. p. Piotra z rąk cesarza niezwykłe odznaczenie, bo złoty krzyż zasługi. Z tym krzyżem na piersiach i z czcią u skroni kilku generacyj, które wychował, odprowadzony został ś. p. Piotr, z szczerym i głębokim żalem do miejsca wiecznego spoczynku, zostawiając synowi, radcy sądowemu w Skawinie, córkom, wnukom i prawnukom czystą, dobrze zapracowaną, szacunkiem ludzkim jaśniejącą pamięć zacnego żywota.

Wiadomości potoczne.

Prosimy życzliwych o gorącą agitacyę wśród znajomych w celu jak najszerszego rozpowszechnienia naszego czasopisma, jak również zjednania największej liczby członków Towarzystwu nauczycieli ludowych.

Ze Lwowa i z wielu innych miast dochodzą nas skargi, iż pomimo dotkliwego zimna sale niektórych szkół nie są jeszcze opalane. Niema co mówić, ładny porządek, jaki tylko w szkolnictwie panować może!

Ślub. Dnia 30 z. m. o godzinie 9 rano w kościele parafialnym w Brzozowie pobłogosławiony został związek małżeński między *p. Władysławem Winogrodzkim*, inspektorem szkolnym okręgowym, a panną *Heleną Herzówną*, starszą nauczycielką 4-klas. szkoły żeńskiej w Brzozowie.

Cztery miesiące czeka na wyasygnowanie płacy jeden z nauczycieli w okręgu P.... Może Rada Szk. kraj. zlituje się już nad tym biedakiem, żyjącym dotąd pożyczkami — tylko czy też wrócą mu procent od pożyczonych na życie pieniędzy.

Z Śniatyna donoszą nam: Grono nauczycielek tutejszej szkoły żeńskiej uczciło pamięć zgasłego wieszcza narodu ś. p. Kornela Ujejskiego, urządzając za spokój duszy jego dnia 19 z. m. solenne nabożeństwo. Podczas mszy św., młodzież szkolna śpiewała na chórze. Ks. kanonik Fischer, w krótkich a pełnych rzewności i uczucia słowach, uprzytomnił zgromadzonej na nabożeństwie publiczności życie i działalność wieszcza podnosząc jego zasługi, jako najlepszego chrześcijanina syna ojczyzny i obywatela.

Dziwne, że dotąd dopiero pierwszy objaw czci dla ś. p. Ujejskiego ze strony nauczycielstwa zaznaczyć nam przychodzi. Za przykładem Śniatyna powinny pójść wszystkie szkoły więcejklasowe w kraju, tem więcej, że zmarły wieszcz był prawdziwym przyjacielem nauczycielstwa, i życzliwość swoją niejednokrotnie pismem i czynem potwierdzał.

Dar bez wartości. *P. Stanisław Szczepanowski* prezes Towarz. pedagogicznego, w myśl własnych słów wypowiedzianych na Zjeździe w Stanisławowie, że *„bogatsi powinni się swym dorobkiem dzielić z biedniejszymi"*, przeznaczył pewną ilość roczników *„Ekonomisty Narodowego"*, pisma, które i tak musiałoby iść na makulaturę, bo nikt go czytać nie chce — w darze *dla bibliotek szkolnych i nauczycieli ludowych*, za zwrotem kosztów przesyłki. Biorąc na uwagę, że pismo to, nie ma nic wspólnego ze sprawami nauczycielskimi, przypuszczamy, że pan Szczepanowski musiał się pomylić i ogłoszenie swoje zamiast *pod adresem* **przekupek**, wystosował pod adresem nauczycieli. *Ale hojność jest...!*

Dobra myśl nie pozostaje bez naśladowania. Widząc usiłowania *„Towarz. naucz. ludowych"* podjęte około wyjednania dla nauczycieli kart legitymacyjnych do zniżonej jazdy koleją, — i *„Towarz. pedag."* redaguje w tym samym celu stosowną petycyę. Jest to bardzo szlachetny i godny uznania objaw, szkoda tylko, że nie wyszedł z własnej incyatywy Towarzystwa pedag. ale dopiero pod moralną presyą żądań nauczycielstwa.

Nowożytny Feniks. W okręgu zaleszczyckim pełni od roku funkcye inspektora okręgowego *p. Julian Łowicki.* Jak nam donoszą, jest to człowiek nadzwyczaj sumienny, a w obejściu z nauczycielstwem sprawiedliwy i wyrozumiały. Sam pracowity, żąda również pracy od nauczycieli, ale czyni to w sposób łagodny i przychylny, nic nie załatwia milczkiem i niezadowolenie swoje, jeżeli mu takowe okazać przyjdzie, objawia otwarcie i z godnością. A niechby się kto poważył powiedzieć coś nieprzychylnego na jego personal nauczycielski, to pewnie w jego obronie podjąłby walkę.

Oby było takich przełożonych więcej!

Emigracya z zawodu nauczycielskiego. Pantalemon Buławski (pow. Przemyśl) po 4-ro letniej służbie opuścił niewdzięczny zawód naucz. i wstąpił do wojska jako wachmistrz artyleryi w Jarosławiu.

Vivat sequens! Po *„bydlętach"* inspektora Witoszyńskiego, mamy do zanotowania nowy objaw czci dla nauczycielstwa. Pan T. R. członek Rady Szk. okr. w Zaleszczykach nazwał nauczycieli *„baciarzami"*, a szkołę *„chajderem"*. Bądź co bądź w imieniu *„baciarstwa"* uzyskali przynajmniej nauczyciele godność *człowieczą*, której im p. W. W. odmówił.

Może jeszcze jakie „bydlę" albo „baciarz" da swój głos do przyszłego numeru „Szkolnictwa"

Przyjaciół naszego pisma upraszamy o nadsyłanie nam krótkich korespondencyi z działu: Emigracya z zawodu nauczycielskiego.

Od Administracyi. Szan. P. T. abonentów upraszamy, aby o każdorazowej zmianie posady raczyli powiadomić nas zawczasu, inaczej narażeni jesteśmy na wielkie straty.

REUMATYZM
kurcze, gościec, suche bóle, influenzę
koi i leczy w zupełności
SAPOMENTHOL
najlepsze nacierania uśmierzające,
wyrobu Eugeniusza Matuli, aptekarza
w Radomyślu koło Tarnowa.
Cena 70 ct. za słoik
Dostać można w aptekach: K. Wiszniewskiego w Krakowie ulica Floryańsa; Dyonizego Matuli w Podgórzu; Piotra Mikolascha we Lwowie, tudzież wprost u Eugeniusza Matuli w Radomyślu koło Tarnowa.

Humorystyczny kalendarz
„SMIGUSA"
na rok 1898 wyszedł już z druku!
Kalendarz zdobi kilkadziesiąt ilustracyj kolorowych
Brunona Tepy, Józefa Kruszewskiego, J. Scharlacha i M. Harasimowicza.
W dziale literackim pomieszczone są prace: Henryka Sienkiewicza, Maryi Rodziewiczówny, Asnyka (E...ly'ego), M. Bałuckiego, W. Kosiakiewicza, Zofii Mellerowej, M. Gawalewicza, Or—ota, Ursyna, Artura Bartelesa, Hajoty, Wiktora Gomulickiego, Klemensa Junoszy, Stanisława Rossowskiego, Adolfa Kiczmana (Przyjaciela), Izydora, Kuncewicza, Pawła Kośmińskiego, Z. Grabowskiego i w. i.
Dział informacyjny bardzo dokładny z uwzględnieniem Lwowa i prowincyi.
Cena 50 ct. (1 korona), z przesyłką pocztową 60 ct.
Równocześnie wyszedł wydany ozdobnie
Kalendarzyk kieszonkowy „ŚMIGUSA"
po 20 ct. (z przesyłką pocztową).

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Józef Gutowski.

Druk J. Litwińskiego w Wieliczce.